

Święty Mikołaj

wchodzi
kominem

Mariusz
Niemycki



ilustrowała Agata Nowak

Wydawnictwo Skrzat
Kraków

Święty
Mikołaj
wchodzi kominem



Pewnego razu, akurat w Wigilię Bożego Narodzenia wieczorem, Świętego Mikołaja odwiedził pan Pech.

Pan Pech, jak każdy pech, był tak malutki, że Mikołaj na początku nawet nie zauważył jego obecności. A szkoda.

– Ho, ho, ho... – Mikołaj mruczał do siebie, próbując odnaleźć pod łóżkiem wełnianą skarpetę w paski, która zapadła się w najmniej spodziewanym momencie. – Katastrofa, doprawdy katastrofa... aaapsik! – kichnął i strząsnął z wąsów kłębek kurzu. – Ho, ho, ho... choinka! – Mikołaj

był bardzo zdenerwowany, bo przecież przed domem czekały na niego sanie załadowane po brzegi prezentami, a zniecierpliwione renifery parskały, przebierając w śniegu kopytami. – Już idę, idę, tylko odnajdę tę skarpetę! Czary jakieś, czy co?

„Co to za Mikołaj – pomyślał – który gubi skarpety? Słyszał ktoś o Mikołaju Bez Skarpety? Jeszcze trochę i zgubię okulary, czapkę z pomponem i spodnie, a potem w ogóle zapomnę, jak się nazywam, i każę na siebie mówić Dziadek Mróz albo, co gorsza, Królowna Śnieżka!”



Zniecierpliwiony zawołał wreszcie:

– Czy jest w tym domu ktoś, kto mógłby mi pomóc?!

W drzwiach sypialni pojawił się Nuffo, młody elf w pasiastym ubranku, w butach z długimi zadartymi noskami i w spiczastej czapeczce mocno opierającej się na odstających uszach.

– Ja jestem – oświadczył z niefrasobliwą miną Nuffo i ziewnął sennie.

– Poszukaj mojej skarpety – zarządził Mikołaj – bo ja już nie mam cierpliwości.

Nuffo rozejrzał się, zanurkował pod stół, po czym wyskoczył stamtąd wielce uradowany.

– Tej skarpety? – zapytał i ponownie ziewając, podsunął Mikołajowi znalezisko pod nos.

Mikołaj poprawił okulary, skrzywił się i powiedział:

– Wygląda jak moja, tylko że moja nie była dziurawa. A poza tym, czy mi się zdaje, czy na niej siedzi jakiś robaczek?

Jak widać, pan Pech nie próżnował i zdążył wygrzyźć w Mikołajowej skarpecie ogromną dziurę. Nuffo przyjrzał się jej z uwagą.

– Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego. Ten robak nosi jasny garnitur, słomkowy kapelusz i laseczkę! To chyba karaluch. – Otworzył okno i strzepnął pana Pecha na śnieg.





Pan Pech niezmiernie się z tego ucieszył. Był leciutki jak piórko, więc nie zapadł się w śniegu, tylko odbił jak pchełka, wskoczył na płożę sań, potem pohuśtał się na lejcach i hoop! – wylądował na grzbiecie renifera Rudolfa (tego z wiecznie czerwonym nosem).

– Chi, chi, chi – zachichotał radośnie, sadowiąc się wygodnie w kosmatym uchu zwierzęcia.

Tymczasem Mikołaj wciągnął skarpetę, popatrzył smętnie na wystający z dziury duży paluch i machnął ręką.

– Trudno. Jak wrócę, poproszę panią Mikołajową, żeby mi ją ładnie zacerowała. A teraz w drogę!

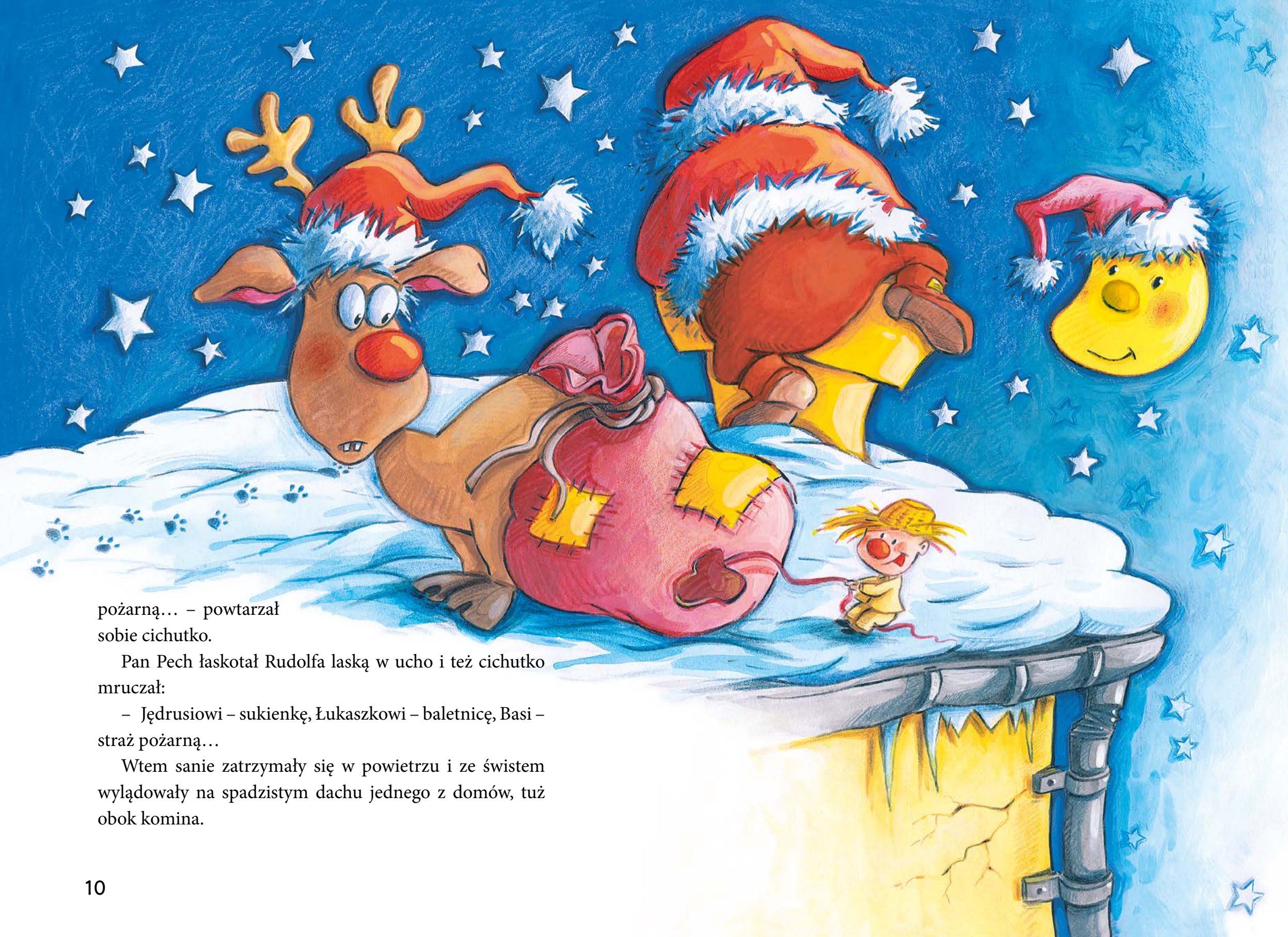
Wyszedł na dwór, wypuścił nosem obłoczek pary, przetarł szkła okularów i ruszył do sań, skrzypiąc butami po świeżym śniegu. Wspaniale rozgwieżdżone niebo zapowiadało cichą, spokojną noc.

– Jazda, Rudolfie! Jazda, moje kochane renifery! Ho, ho, ho! – zawołał Mikołaj.

Renifery podreptały w miejscu, sanie nagle drgnęły i frrrr! wzbily się w powietrze, nabierając prędkości. Mikołaj szarpnął lejcami, dając znak Rudolfowi, by skierował się na południe, w stronę najbliższego miasta.

– Jak pięknie – wyszeptał, gdy zobaczył migające w dole kolorowe światełka lampek, rozwieszonych na drzewkach przyprószonych śniegiem, i ciepły blask bijący z okien domów, w których czekały na niego grzeczne dzieci. – Według listy, Rudolfie! Pamiętaj, według listy! – przypomniał czerwono-nosemu reniferowi, bo odpowiednia kolejność była bardzo ważna. Oj, długo by się musiał tłumaczyć pani Mikołajowej, gdyby pomylił prezenty.

– Małej Kasi – lalkę baletnicę, Łukaszce – kominiarza w cylindrze, Basi – sukienkę z cekinami, Jędrusiowi – straż



pożarną... – powtarzał
sobie cichutko.

Pan Pech łaskotał Rudolfa laską w ucho i też cichutko
mruczał:

– Jędrusiowi – sukienkę, Łukaszowi – baletnicę, Basi –
straż pożarną...

Wtem sianie zatrzymały się w powietrzu i ze świstem
wylądowały na spadzistym dachu jednego z domów, tuż
obok komina.

– Aha, małej Kasi lalkę baletnicę – przypomniał sobie Mikołaj i zawołał z animuszem: – Ho, ho, ho!

Pan Pech szybko przeskoczył na worek z prezentami, zgrzytnął ząbkami i ciach, rozgryzł lnianą nitkę, wyszarpując jej tyle, ile się dało. Mikołaj chwycił worek.

– No, pora do komina! – Wciągnął brzuch, bo komin był trochę za wąski. – Uff, przytyłem chyba ostatnio – jęknął, stęknął, ale jakoś się zmieścił.

Podczas gdy Mikołaj przeciskał się z trudem przez komin, nadgryziony worek pruł się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu

tak się rozpruł, że kiedy Mikołaj wylądował w kominku, wszystkie zabawki wysypały mu się z hałasem na głowę.

– Och, a co to? Kto to? – szepnął przestraszony głosik. Mikołaj przetarł zasypane sadzą powieki. Obok przepięknie udekorowanej choinki stał mały rozczochrany chłopiec w piżamie w baloniki i brązowe misie.

– To ja, Święty Mikołaj – wymamrotał Mikołaj zgodnie z prawdą. – A ty nie jesteś Kasią?

– Jestem Łukaszem, nie żadną Kasią – oburzył się chłopiec. – Masz brudne policzki, nie umyłeś dzisiaj buzi?

– Przyniosłem ci prezent – zarumieniony ze wstydu Mikołaj prędko zmienił temat. – Zaraz, co to miało być...?

– Łukaszowi baletnicę – odpowiedział pan Pech, który zdążył już wleźć Mikołajowi na ramię.

